

omawianych w jego tekstach problemów a ich atrakcyjnością, bliskością życiu codziennemu, ludzkim wymiarem. Przejawia się to w umiejętnym doborze przykładów, zwracaniu uwagi na myślicieli o szczególnie wyrazistych osobowościach, wyczuleniu na znaczące a zarazem anegdotyczne fakty historyczne, biograficzne, psychologiczne, co powoduje, że teksty Adama Sikory są żywe, barwne, przyciągające uwagę czytelnika. Walorem ich jest wreszcie język o charakterze literackim, a nie fachowy żargon, w którym pisanych jest wiele prac o ambicjach popularyzatorskich; język inspirowany polszczyzną epoki, z którą autor żył się szczególnie – romantyzmu – lecz przefiltrowany przez tradycję jasnego i precyzyjnego wyrażania myśli niesioną przez szkołę lwowsko-warszawską; jest to zarazem język przeciwstawiający się ideologicznej sztampie, której wymogom w pisaniu o dziejach myśli filozoficznej ulegało wielu autorów w minionej już epoce.

Wszystkie te walory pisarstwa Adama Sikory powodowały nie tylko wielość nakładów jego prac popularyzatorskich, lecz także rodziły sytuacje anegdotyczne. Szkice składające się na *Spotkania z filozofią* wyrosły z artykułów o filozofii pisanych w początkach lat sześćdziesiątych dla ambitnego wówczas pisma młodzieżowego „Radar”; z egzemplarzami tej książki przychodzili na egzamin studenci, prosząc autora o dedykację niezależnie od wyniku egzaminu, zaś pewien kandydat na studia filozoficzne wyznał, że do ich wyboru skłoniła go lektura książeczki o siedmiu filozofach greckich, którą babcia kupiła mu w okolicznym kiosku – nazwiska autora nie mógł sobie przypomnieć.

Na popularyzatorskich pracach Adama Sikory wychowało się już kilka pokoleń polskiej inteligencji; myślę, że wytrzymują one próbę czasu, przeto służyc będą kolejnym pokoleniom.

Jerzy Niecikowski

Mechanizm perłopława

Doświadczenie uczy, że późne debiuty są zazwyczaj jednocześnie interesujące i ważne. Przykłady Juliana Strykowskiego i Andrzeja Kuśniewicza stanowią dobre potwierdzenie tej tezy. Trzeba mieć w sobie coś, co kategorycznie domaga się wypowiedzenia, żeby w wieku dojrzałym wystawić się na niebezpieczeństwo debiutu. Ponieważ sztuka na ogół rodzi się z cierpienia, idzie najczęściej o ukrytą ranę, która nie może się zbliżnić. Działa tutaj coś w rodzaju mechanizmu perłopława – gdzieś w głębi tkwi ziarno piasku, które uciska, drażni i uwiera. W takim wypadku twórczość staje się rezultatem psychicznej samoobrony. Niekiedy trzeba prawdziwego wstrząsu, żeby perłopław otworzył swoje skorupy. I tak Julian Strykowski wielokrotnie mówił

w wywiadach, że swą pierwszą, wybitną powieść – *Głosy w ciemności* – zaczął pisać, usłyszawszy o likwidacji warszawskiego getta.

Przeciw temu, co zostało wyżej powiedziane, zdaje się świadczyć debiut Adama Sikory. Czym bowiem na pierwszy rzut oka jest *Milczący pająk* (Adam Sikora: *Milczący pająk*. Warszawa 1981 r.), książeczka wydana w momencie, gdy autor był już od dawna profesorem uniwersytetu o ustalonej renomie i rozległym dorobku? Przede wszystkim zbiorem kunsztownych anegdot, które autor napisał dla zabawy, żeby ofiarować je przyjaciółom. Zresztą każdy, kto choć trochę zna Adama Sikorę, wie doskonale, jak wspaniałym jest gawędziarzem. Można go słuchać godzinami, zaśmiewając się do łez. Przy tym jako gawędziarz mistrz Adam włada niezawodnie tym rodzajem humoru, który każdy słuchacz lubi najbardziej. Nie ma w tym, co opowiada, ani krzty drwiny czy szyderstwa. Jeśli już narrator pokpiwa sobie z kogoś, to wyłącznie z samego siebie, można więc, słuchając, śmiać się beztrudno w poczuciu całkowitego bezpieczeństwa.

I tak się właśnie wydaje – *Milczący pająk* to „literatura mówiona”, ot, spisane gawędy i anegdoty, których autor skądinąd jest prawdziwą kopalnią. Oto dla przykładu dwóch stypendystów w Paryżu, z których jeden, oszczędzając energię, przez parę miesięcy leży w łóżku, żeby kupić wymarzony, używany samochód (znamy to? oczywiście, doskonale znamy), a drugi – bez przekonania zresztą, ale co robić na tym diabelskim stypendium, gdzie człowieka na nic nie stać – pracowicie chodzi nudzić się w bibliotece. Ale w tym wypadku cnota zostaje nagrodzona. Ten drugi właśnie, idąc do swojej biblioteki, bez własnej winy wpada pod auto bogatego Francuza i za odszkodowanie będzie mógł sobie kupić prawdziwy, elegancki samochód. Co mu pozwala udzielić pierwszemu następującego pouczenia: „Drogi Edwardzie – powiadam z namaszczeniem – od lat jesteś pracownikiem nauki, a nie możesz pojąć elementarnej prawdy, tego więc, że dla ludzi naszego zawodu jedyna droga do kariery, znaczenia, materialnej zasobności wiedzie przez bibliotekę, że trzeba tedy regularnie, porządnie, systematycznie ku niej się kierować i uparczywie podążać” (s. 58). A oto opowieść o pewnej znakomitej pani profesor, która prowadziła zebranie naukowe, mimo że w pokoju obok wybuchł pożar. „Biła z niej taka siła, spokój i powaga, że wszyscy jak jeden mąż pozostali na swoich miejscach” i dyskursowali dalej, nie zwracając uwagi, że „całkiem, ale to całkiem niedaleko, za ścianą płoną prace doktorskie i rozprawy habilitacyjne, nie licząc już skromnych notat, fiszek bibliograficznych, obfitej korespondencji oraz planów naukowych, tych węzłowych i tych resortowych” (s. 7). I tak sypią się anegdoty, a czytelnik raz po raz wybucha gromkim śmiechem. Jak tu się zresztą nie śmiać, kiedy słucha się takiej oto rady, której doświadczony pracownik naukowy udziela swemu młodemu koledze: „Wiedz pan, że z czytaniem jest tak samo i zarazem inaczej jak z kobietami: otóż wszystkich książek pan nie przeczytasz, ale nawet i dążyć do tego nie warto” (s. 62). Skądinąd święta prawda.

Opowiadanka zgromadzone w *Milczącym pająku* mają wspólnego bohatera-narratora. Jest nim niezbyt rozgarnięty, młody pracownik naukowy, który daremnie zмага się z własną niemożnością i dojmującą nudą tekstów, które mu przyszło studiować. Ów bohater natęży wolę, jak może, powiadając sobie: „Pokochasz nawet Autora, odnajdziesz sens w Jego myśli, polubisz bombastyczny styl, zachwyci cię słowotwórcza nadczynność. Będiesz Go nie tylko czytał, ale wprost Nim myślał, Nim mówił i Nim pisał. Teraz już się nie zaspokoisz byle kawalcem (fragmentem), lecz uchwycisz sam calec (fundament), a kiedy staniesz rozdarty w obliczu dwójgańca (dylematu), nie poprzestaniesz na licach i rękach (antynomiach), ale wyciągniesz stosowne pasynki (wnioski) oraz w potężnym wysileniu umysłu, okiem na transcendencję zwróconym, dojdiesz do boskiej kojarzni i wszystko zróżnojednisz” (s. 9–10). Ale jak tu pokochać, skoro żadną miarą się nie da? Toteż bohater tych opowiadań niczego ostatecznie zróżnojednić nie jest w stanie, dziwiąc się ustawicznie, że inni jednak potrafią.

Właśnie za sprawą bohatera, który w książce przemawia w pierwszej osobie, pojawia się w opowiadaniach ton cieplej autoironii, tak świetnie znany wszystkim słuchaczom gawęd Adama Sikory.

Są wszakże w *Milczącym pająku* dwa opowiadania, które każą sceptycznie spojrzeć na wizerunek pogodnego gawędziarza, wyłaniający się z pozostałych utworów. W opowiadaniu tytułowym, w *Milczącym pająku* z pozoru mamy do czynienia z tym samym bohaterem-narratorem co w innych anegdotach. Oto pracownik naukowy, który idzie na zebranie wyznawców jakiegoś mistrza, Towiańskiego być może, i słucha nudnego, rozwlekłego referatu, który go przyprawia o z trudem skrywane ziewanie, dla innych uczestników spotkania stanowiąc objawienie najprawdziwszej prawdy. Wystarczy jednak zadać najprostsze pytanie: „człowieku, a po coś ty polaził na to nudziarstwo?” żeby zrozumieć, o co chodzi. Oto bohater Sikory jest człowiekiem osamotnionym, który tę swoją samotność głęboko przeżywa. Słuchając nudnego referatu, narrator przypomina sobie fragment wiersza Brodzińskiego: „Bom jako pajak milczący, Na swych wnętrnościach wiszący”, wkrótce zaś potem, gdy zebranie wyznawców Mistrza dobiega końca, bohater myśli o sobie: „Pozostanę pajakiem na orbicie bytu”. Nagle więc humor i autoironia Sikory okazuje się nie tyle maską, ile tarczą, za którą chroni swą samotność i poczucie wyobcowania.

„Pajak milczący, na swych wnętrnościach wiszący” – co to właściwie znaczy? Odpowiedź na to pytanie stanowi opowiadanie ostatnie, które pisarz zadedykował córce. W tym tekście zmienia się narracja. Znika pierwsza osoba, nie ma tu również dotychczasowego bohatera, niezbyt wydarzonego uczonego, z którego autor sobie pokpiwa. Autor opowiada o żydowskim dziecku, które w czasie mroźnej zimy uciekło z getta, by tułać się wśród obcych, szukając ocalenia.

Nie ma powodów ukrywać, że ostatnie opowiadanie tomu – *Ta chwila...* – ma charakter autobiograficzny. Część tego tekstu pisarz na powrót zamieścił w następnej swojej książce, w *Zielonej teczce* (Adam Sikora: *Zielona teczka*. Londyn 1989 r.), zmieniając jednak sposób narracji. Tutaj nie opowiada w trzeciej osobie, nie mówi o jakimś chłopcu, tu mówi „ja”. Jak gdyby chciał rzec: to nie jakiegoś chłopca spotkało, to wszystko było moim udziałem.

Zielona teczka stanowi cykl opowiadań, które łączy ze sobą postać głównego bohatera i narratora zarazem. Łatwo jest, czytając te teksty, zrekonstruować jego losy. Uciekłszy jako dziecko z getta bohater tułał się wśród chłopów, by w końcu trafić do oddziału partyzanckiego. Po wojnie, pracując na budowie, a później jako magazynier, zrobił wieczorową maturę i skończywszy studia został asystentem, a następnie samodzielnym pracownikiem naukowym. Podobnie jak sam autor, bohater Sikory jest z wykształcenia filozofem i zajmuje się historią filozofii.

Opowiadania zgromadzone w *Zielonej teczce* leżą na pograniczu wspomnień. Jak się wydaje, nic tu nie zostało zmyślane, autor mówi wyłącznie o tym, co osobiście przeżył. Jednocześnie, ze względu na tożsamość bohatera-narratora, teksty Sikory znajdują się na pograniczu powieści, nie stając się wszakże powieścią. Dlaczego? Chyba nietrudno o odpowiedź na to pytanie. Otóż, powieść w stopniu mniejszym czy większym zakładać musi, że bohater jest podmiotem swoich wyborów i czynów, natomiast opowiadania Sikory są wyrazem takiego doświadczenia, gdzie podmiotowość ludzka uległa całkowitej destrukcji. Straszne to i przerażające doświadczenie.

Tło wszystkich opowiadań Sikory stanowi historia, będąca okrutnym, nieludzkim i niszczycielskim mechanizmem. Przy czym sama historia ani na chwilę nie staje się tutaj przedmiotem spekulacji. Ani autor, ani jego bohater żadnej historiozofii nie uprawiają. Historia jest tutaj jedynie horyzontem doświadczenia. Tego doświadczenia, które zmusza bohatera do tego, by stawiał sobie pytania elementarne: jak zachować życie? jak oprzeć się pokusie przyłączenia się do tych, którzy mają władzę i decydują o życiu innych? jak nie czynić zła?

W jednym z opowiadań z *Zielonej teczki* znajduje się następująca anegdota: oto bohater, młody asystent, siedząc z kolegami na ławce w słoneczny dzień wiosenny, pozwala sobie na żart: „»– Co też tu, proszę koleżeństwa, widzimy?« – powiedziałem tak ni z tego, ni z owego, wpadając w ton miejskiego przewodnika – »Widzimy regularną harmatę. Otóż trzeba wam wiedzieć, że z tej to właśnie harmaty w potrzebie roku dwudziestego sama Jego Magnificencja, nasz Rektor umiłowany, jako junga »artyleriji, do bolszewików prażył. I na pamiątkę tych salw, skutecznych w miarę, na wieczne czasy harmatę pozostawiono, abyśmy i my teraz na niej okiem spocząć mogli«”. Ten żart wszakże wypowiedziany został w czasach stalinowskich, toteż w dwa dni później bohater, któremu grozi, że za dowcipy zostanie usunięty z ZMP

i z uczelni, jest świadkiem, jak robotnicy usuwają harmatę sprzed pałacu Kazimierzowskiego. Dziś harmata stoi tam, gdzie stała dawniej. Stało się tak dlatego, że dyrektor Muzeum Historycznego UW, przeczytawszy opowiadanie Sikory kazał harmatę przywrócić. Jeden i ten sam dowcip harmatę zlikwidował i na nowo stworzył. Żeby jedno i drugie mogło się dokonać, trzeba było dwóch rewolucji. Historia musiała zrobić pełny obrót.

I kto to potrafi zrozumieć?

Jacek Zychowicz

Śmierć i powrót utopii

„Utopia” należy do stosunkowo nielicznych pojęć ze słownika badacza dziejów idei, których używa się nie tylko na seminariach, lecz i na rynku. W tym ostatnim kontekście jest ona zarazem wyjątkowo popularna i skrajnie niepopularna. Ów pozorny paradoks wykorzystuje, jak łatwo dostrzec, homonimie zawartego w nim określenia, które odnosi się zarówno do częstotliwości użycia, jak i sposobu wartościowania. Zwięźlej i prościej: im częściej utopia bywa przywoływana, tym bardziej jest wyklinana. Z terminu opisowego zamieniła się ona w przezwisko, a w końcu – w wyzwisko.

Nietrudno odnaleźć winowajcę jej smutnego losu. Stał się nim obiegowy ostatnimi laty wśród polskich intelektualistów pogląd: ludzkość uniknęłaby swoich najgorszych nieszczęść, gdyby umiała oprzeć się pokusie zboczenia ze świetlistego szlaku „normalnej” historii na bezdroża wabiące ją syrenim śpiewem nierealnych fantazji i marzeń. Tę generalną filozofię dziejów wzbogaca interpretacja bied grasujących po naszym wschodnioeuropejskim zakątku planety; długo jeszcze będziemy spłacać rachunek, który rzeczywistość wystawiła twórcom społecznej utopii. Czy myślenie utopijne zdobędzie się na przekonującą mowę obrończą przed surowym trybunałem realistycznego rozumu? Czy może ono, zamiast oczekiwać pokornie na eliminację z kultury, zapewnić sobie w niej dalsze trwanie?

Wokół przedstawionych pytań zamierzam zorganizować interpretację prac historyczno-filozoficznych Adama Sikory, dotyczących głośnych utopistów nowoczesnej historii: Saint Simona, Fouriera, Lamennais i Blanqui’ego. Natychmiast nasuwa się ogólne spostrzeżenie: zamiast bawić czytelnika „efektem obcości” wywołanym przez zestawienie utopijnych koncepcji z historyczną faktycznością, udzielając mu w ten sposób trzeźwej nauki na przyszłość, Sikora ukazuje raczej ściśle powiązanie tych na pozór rozbieżnych porządków.